ROK I. LUTY 1929 NR. 2.

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

W dziesiątą rocznicę wyzwolenia Poznania

Zmiany, któreśmy przeżyli tu od 27. 12. 1918, są olbrzymie, sięgające głęboko i szeroko. Inną stała się ziemia, innymi ludzie i ich duch. Pozostałe jeszcze liczne wyspy dóbr niemieckich nie mącą już polskiego charakteru tych pól zbożowych. Najeźdźca stopniał do małej grupy. Odwieczny syn tej ziemi — Polak nie boi się nazwać jej swoją. Największych przeobrażeń doznało miasto główne. Jeśli przed wojną było w nim 56 prcc. Niemców na 150000 mieszkańców, to obecnie procent ten spadł do 3, a ogólna liczba ludności wzrosła do 240.000, czyli przybyło do Poznania 170000 nowych mieszkańców Polaków. Obecnie mamy 4 i pół tys. młodzieży w szkołach wyższych i około 15000 w średnich i niższych w samym Poznaniu.

Co za potężna armja pracy oświatowej! 42 drukarnie tłoczą 10 dzienników, kilkanaście czasopism fachowych poważniejszych i doskonałe wydawnictwa książkowe. Powstały 3 duże antykwarjaty, ułatwiające obieg książek w społeczeństwie. Prosperuje od roku i zyskuje sympatje w całym kraju wspaniały tyg. il. „Tęcza“ pod kierownictwem poety Zegadłowicza. Trzy dzienniki polskie zaczęły od 2 lat dołączać tyg. dodatki ilustrowane. A jakżeż oczyścił się język pism tutejszych, jak rozszerzyła się znajomość spraw całej Ojczyzny, jak zbogaciła się treść, zasilana wybitnemi piórami całego kraju! Jeden dziennik niem. upadł dwa lata temu. Był bardziej umiarkowany niż „Posener Tageblatt“, który energicznie prowadzi linję postępowania wszechniemiecką, proberlińską. Powstały i mają szanse utrzymania się miesięczne pisma uczniowskie: „Z pod czapki uczniowskiej“ i „Orlęta“ oraz 3 czy 4, wydawane przez młodzież akademicką. Wielkie ożywienie wykazują „Towarzystwo Przyjaciół Nauk“, które w tem dziesięciuleciu wydało więcej książek, niż w ciągu 60 lat poprzedniego istnienia, oraz powstałe w roku 1922 „Towarzystwo miłośników historji“, które wydaje roczniki, poświę-

cone dziejom Zachodniej Polski. Biblioteka Uniwersytecka, przedtem całkiem niemiecka, zapełniła się dziesiątkami tysięcy tomów polskich i stała się poważnym warsztatem pracy naukowej naszej młodzieży, z szeregów której już liczne setki objęły posady nauczycieli, sędziów, lekarzy. Ogromnie przyczynił się do rozbudzenia życia umysłowego i do jednoczenia się sfer inteligentnych ś. p. Heliodor Święcicki, pierwszy rektor Uniw. Pozn. W jego gościnnych salonach w ciągu lat 3 przeszło odbywały się 2 razy na miesiąc wieczory dyskusyjne. Dmowski, Milewski, Peretiatkowicz, Klinger, Stein, Nowicki, Rutkowski, Tymieniecki, płk. Kleeberg, Żukowski i wielu innych wygłosiło tu referaty, poddawane następnie gruntownemu omówieniu. Rolnictwo i wojskowość, historja i kultura, pedagogika i polityka — wszystkie żywotne dla narodu naszego zagadnienia były tu przepracowane. Śmierć czcigodnego gospodarza w październiku 1923 przerwała tę pracę jedynego w swym rodzaju salonu w Poznaniu. W ciągu roku następnego zebrania podobne odbywały się pod gościnnym dachem p. Prezydenta Ratajskiego, lecz powołanie go na stanowisko Ministra S. W. w listop. 1924 położyło kres tym zebraniom.

Uniw. Pozn. od lat 6 organizuje „Powsz. Wykłady Uniwersyteckie" dla najszerszych warstw. Niestety, publiczność coraz bardziej obojętnieje. Żadne tematy z zakresu nauki i sztuki nie zainteresowały naszego mieszczaństwa. Studenci Uniw. również pozostali obojętni dla tych odczytów, uważając widocznie, że uczęszczanie „na popularne" jest poniżej ich godności. Większem powodzeniem cieszyła się działalność P. W. U. na prowincji w ciągu 2 lat ostatnich. Z żalem konstatujemy, że to niezbędne poczynanie ledwo nie zostało zlikwidowane w 10 roku niepodległości z powodu deficytów pomimo niezmiernie niskiej stopy wynagrodzenia prelegentów. Nie utrzymał się również teatr popularny, który po 2 letniem istnieniu 1920-22 zbankrutował. Natomiast powstał drugi dramatyczny im. Modrzejewskiej. Rola teatrów w przetworzeniu miejscowego społeczeństwa była i jest olbrzymią. Pod znakomitem kierownictwem Żelazowskiego, Szczurkiewiczów, Wysockiej, Stermicza i Zaleskiego Teatry Polski i Wielki, zaznajomiły szeroki ogół z arcydziełami naszemi i obcemi, często olśniewając wystawą i grą. Niestety, walcząc o publiczność z kinami, gęsto przeplatały doborowy repertuar sensacyjnemi efemerydami lub ryzykownemi baletami. Zespoły aktorskie niemało zapewne zawdzięczają subtelnej i dowcipnej, zawsze życzliwej krytyce W. Noskowskiego, Stefa, Z. L. Jeśli aktorzy ciężką rzetelną pracą rozwijają gust publiczności, to kina, których mamy cały tuzin, mają drogę usłaną różami, a przedewszystkiem złotówkami. Zawsze niemal przepełnione, zdobywają się na okazałe renowacje, rozszerzenie

gmachów, udoskonalenia techniczne. Wielotysięcze rzesze mniej wybrednych spracowanych ludzi znajdują tu łatwą rozrywkę, przeżywają fantastyczne przygody, tak niepodobne do szarzyzny ich życia, zwiedzają dalekie piękne kraje. A przecież podróże są b. pożyteczne! Piękne bajki są niezastąpionym pokarmem duszy! Czy tylko wszystkie kino-bajki są piękne?!

Dbałość o polski charakter miasta ujawniła się nietylko w zamianie nazw ulic polskiemi i w usunięciu szyldów i pomników niemieckich, lecz również w przyozdobieniu pomnikami. Ułan, zabijający dzidą smoka, przypominać będzie wojnę z Bolszewją. Popiersia Moniuszki i Szopena w Parku Szopenowskim są wyrazem hołdu dla ulubionych kompozytorów.

Zaczęło się coraz silniejsze oddziaływanie kultury francuskiej. W większości szkół język fr. stał się obowiązkowym. Rozwijają się pod protektoratem rządu franc. kursy jęz. i kultury franc. dla dorosłych. — O. Neveux wydawał w ciągu 2 lat pismo dla młodzieży. Od 1922—1927 istniała w Poznaniu jedyna w Polsce księgarnia francuska „Au coin de France". Niestety, dzięki nieumiejętnej gospodarce została zwinięta. Towarzystwo Polsko-Francuskie utrzymuje czytelnię, wypożyczalnię, sprowadza od czasu do czasu znakomitych prelegentów. Prof. Langlade, Mathieu, Grabowski i Morawski pracują wytrwale i skutecznie nad tem, by Poznań się przekonał, że Francja była i jest dla świata nowożytnego Słońcem Europy. Księgarnia Gebethnera, mająca w Paryżu filję, odznacza się inteligentnym doborem książek wystawowych i sprawnie załatwia zlecenia. Nauka jęz. fr. w szkołach średnich, przy których są bibljoteczki franc., stoi na takim poziomie, że maturzyści czytają swobodnie i mogą korzystać z literatury naukowej. W ten sposób przygotowuje się grunt do wyzwolenia umysłowości tutejszej z pod wszechwładzy Berlina.

Olbrzymią rolę w urabianiu nastrojów i kształceniu najszerszych kół czytelników odegrały dwa dzienniki — warszawska „Rzeczpospolita" Paderewskiego 1921—24 i coraz poczytniejszy krakowski.

„Rzeczpospolita" była pierwszym wielkim dziennikiem w nowem dziennikarstwie Odrodzonej Polski. Dawała niesłychane bogactwa materjału wszechstronnie informującego o kraju i zagranicy. Dolary sprawiały, że w czasie inflacji i zubożenia żaden dziennik nie mógł dorównać przytłaczającemu wprost bogactwu „Rzeczp.". Olbrzymie rzesze pracujących w handlu i urzędach posiadały w tem piśmie przebogaty podręcznik do „Nauki o Polsce". Rzec można, że dopiero teraz otwierały

się im oczy na własną ojczyznę i szeroki świat. Niestety — niewątpliwie wbrew intencjom szlachetnego i mądrego patrjoty - pismo to zmąciło bogaty zdrój swych pouczając. informacji bezpardonowem używaniem na ówczesnym „Belwederze", który młócono wszystkimi kijami, zlewano wszystkimi brudami, obciążono najpotworniejszemi zbrodniami. Przez to pogłębiano zadawnione nienawiści i podkopywano szacunek do władzy polskiej wogóle. Niemcy mogli się cieszyć!

Niezwykle rzutki i wytrwały wydawca krakowski wciągnął w krąg zainteresowań ogólno-polskich jeszcze większe zastępy przeważnie mało wybrednych czytelników, którym obok poważnych i cennych wiadomości i rozprawek, daje roje naiwnie płytnich i niedorzecznie plotkarskich bzdurstw z całego świata — o tem że Pola Negri się rozwodzi czy wychodzi zamąż, że inna gwiazda spędza czas na plaży itp. A jednak naogół lektura ta dociera do dalekich zakątków b. zaboru pruskiego, interesuje, przyzwyczaja do czytania po polsku tych, którzy wolą dotychczas gazety niemieckie.

Nie ukrywajmy przed sobą, że przeminie jeszcze nie jedno dziesięciolecie, zanim słowo polskie stanie się potrzebą każdego polaka i wytrąci mu z rąk piśmidło gdańskie, berlińskie, bydgoskie czy różne lokalne „Kreisblaty"!! Do zdobycia mamy jeszcze liczne dziesiątki tysięcy dusz od Rybnika do Pucka. W tym „połowie dusz", w tej pracy nad unifikacją ojczyzny oprócz miejscowych dzienników rola wyjątkowa przypadła obu wzmiankowanym.

Stosunek człowieka do natury zmienił się ku gorszemu. Powodowany chciwością, opanowany szałem myśliwskim, nie wstrzymywany surowością praw, chroniących naturę przed jego okrucieństwem, barbarzyńca XX w. zamienia własny kraj w pustynię. Po miastach wybito i pożarto wszystkie gołębie. Przez lasy rządowe można wędrować godzinami i nie ujrzeć zająca, nie usłyszeć ptaszyny śpiewającej. Sarenki się widzi tylko w jakim lesie prywatnym, dobrze strzeżonym przed kłusownikami. Wiewiórki, tak lubiane w Anglji iSzwecji, że w parkach zbliżają się do ludzi i przyjmują z rąk pożywienie, u nas wymordowano niemal doszczętnie. To miłe stworzenie nie urozmaica swemi harcami po drzewach ponurej monotonji lasów tutejszych, które na olbrzymich przestrzeniach zniszczyła w r. 1924 gąsienica, rożmnożona z powodu wytrzebienia ptactwa. Człowiek stał się katem bezrozumnym bezbronnych istot, odarł przyrodę własnego odzyskanego kraju z piękna, podkopał podstawy swego dobrobytu, zdrowia ciała i duszy. Polak powinien pojednać się z naturą, zmienić z gruntu swój do niej stosunek! Inaczej biada! Nic nas nie uratuje przed zemstą rozpętanych wrogich sił!

Stając się wielkiem miastem Poznań, postradał niemało cech dodatnich. Coraz częściej rozlegają się pijackie ryki przed mnożącymi się szynkami, w których rozsiadł się arogancko scytyjski, brudny, hałaśliwy, chamski Bakchus. Ulice główne stają się wieczorem szkołą ohydnego zepsucia, niszczącego życie rodzinne. Setka ulicznych gazeciarzy rozpowszechnia cuchnące ilustrowane świstki, w tej liczbie niemało berlińskich. Szerzą one gangrenę społeczną, której głównemi ogniskami stały się liczne kabarety i dancingi. „Kultura" starych spelunek francuskich i nowych murzyńskich mocno się przyjęła na naszym gruncie.

Fatalne naśladowanie wybryków mody cieplejszej „Europy" wytwarza w naszym klimacie nieprzejrzane zastępy ofiar tuberkułów, które niszczą coraz więcej płuca kobiece. Samo uprzemysłowienie miasta przyniosło nowe komplikacje. Słusznie jesteśmy dumni z fabryki lokomotyw i wagonów Cegielskiego, która zatrudnia 4000 robotników. Nie zdołaliśmy atoli stworzyć instytucji (np. Domu Ludowego, teatru i t. p.), któreby przeciwdziałały wrogiej propagandzie wśród kilkunastu tysięcznej masy robotniczej. Byliśmy zdumieni, gdy wybory do sejmu dały 12.000 głosów zwolennikom podboju Polski przez Moskwę. Bożyszcze tej masy Bem, podobno, już tworzył oddziały przyszłej czerwonej armji. Z bólem zadźwięczały w pamięci słowa Krasińskiego z przed 100 laty o tem, że przedmieścia wielkich miast Europy zaludnione są przez hordy hunnów, którzy lada chwila gotowi są rzucić się na śródmieścia, sprawić rzeź i zniszczyć dorobek tysiącletniej pracy kulturalnej. Los nie pożałował nam wymownego ostrzeżenia, gdy 31. 12. 1925 hordy naszych hunnów rzuciły się z przedmieść i w ciągu kilku godzin w pobliżu głównej siedziby władz bezpieczeństwa demolowały wystawy i rabowały sklepy. Samych szyb wystawowych zniszczono za 200.000 złotych. Ładna zabawa! Na szczęście nie powtórzyła się gdzieindziej w Polsce, bo nawet olbrzymi strajk łódzki 1928 r. obszedł się bez podobnych ekscesów pomimo 150,000 uczestników.

W pracy nad wyzwoleniem i zdobyciem terytorjum Polski Zabór Pruski odegrał rolę olbrzymią. M. Seyda pomagał w Paryżu niestrudzonemu Dmowskiemu nad organizacją przychylnej dla nas opinji i przy tworzeniu armji. W szeregach polskiej armji we Francji było zapewne 50 tys. poddanych niemieckich. Zorganizowana przez gen. Dowbór-Muśnickiego (z armji ros.) siła zbrojna poznańska była najlepiej dyscyplinowana i ekipowana. W liczbie 50 — 60 tys. walnie się przyczynia w r. 1919 do wytknięcia naszych granic za Mińskiem, nad Dźwiną i Berezyną. Ofiarne obywatelstwo wysyła pociągami kartofle i zboże wy-

głodzonym mieszkańcom zrujnowanych Kresów Wsch. W walkach z niemcami o granice zachodnie w r. 1919 również jak i podczas powstań śląskich 1919—20 r. legło nie mało synów tej ziemi.

Żmudnemi zajęciami Sejmu Ustawodawczego, zwłaszcza burzliwemi rozprawami nad tekstem Konstytucji 1921 r. kieruje 1919—22 niestrudzony, iście herkulesowską pracę czyniący, marszałek Trąpczyński, wybitny i odważny pogromca Hakaty w Parlamencie Niemieckim. Brownsford, patron Kółek Rolniczych, organizuje w pierwszych miesiącach wojny pomoc mieszkańcom Kalisza, spalonego przez Niemców. Uosobnieniem jedności narodowej są ludzie tej miary, co ś. p. Hel. Święcicki, pierwszy Rektor Uniw. Pozn.; Erzepki, prezes Tow. Przyjaciół Nauk. Dembiński, urodzony i wychowany na Pomorzu, był przez długie lata profesorem historji na Uniw. Lwowskim, aż się doczekał możności pracowania w Uniw. tutejszym oraz na stanowisku dyplomatycznem (wiceministra S. Zagr.). I obecnie ten sędziwy działacz nie ustaje w pracy dla ojczyzny w szeregu organizacji międzynarodowych i na zjazdach naukowych.

Ofiarność na cele publiczne jest wskaźnikiem stopnia uspołecznienia i wiary w przyszłość Narodu. Ludność tutejsza brała wybitny udział w popieraniu pożyczek państwowych, na których, jak wszyscy Polacy, poniosła straty dotkliwe. Na cele kultury dokonali olbrzymich zapisów dwaj wielcy synowie Polski: ś. p. Władysław Zamojski i ś. p. Heliodor Święcicki. Pierwszy, właściciel dóbr i bibljoteki w Kórniku, mąż takiej siły i wzniosłości ducha, że wkrótce o jego życiu będą napisane tomy i zostanie on zaliczony do Wielkich w Narodzie.

Drugi, niestrudzony organizator Uniwersytetu Poznańskiego i propagator jaknajszybszego zbratania się wszystkich dzielnic. Obaj zapisali swe dobra na popieranie nauki polskiej.

W stosunku niemców tutejszych do polskości zaszły zmiany niemałe. Nawet tak zwarty i twardy żywioł, pomimo sąsiedztwa Berlina, nie mógł nie ulec wpływom przemożnym życia codziennego i twórczości naszej. Obowiązkowa nauka jęz. polskiego w szkołach wprowadza najbardziej butnych młodych w czarujący świat poezji polskiej. Opera zaznajamia z przepychem malarstwa dekoracyjnego i talentami aktorów-śpiewaków. Drożyzna w Vaterlandzie i inne względy praktyczne zmuszają do wstępowania na Uniw. Pozn., który zyskuje coraz lepszą opinję.

Odbywanie studjów w tutejszym Uniw. jeszcze pięć lat temu uważane było przez niemców za uchybienie godności, niemal za zdradę narodowości. Teraz dzięki ogólnej zdumiewającej tolerancji i dobrotli-

wości naszej zachodzi pocieszający proces zbliżenia się obu narodowości. Studentów niemców tutejszych jest kilkudziesięciu. Ta nasza tolerancja często, zwłaszcza na prowincji, sprawia wrażenie raczej pozostałości niewolniczych, uniżoności względem wczorajszych panów z „rasy wyższej“. Przecie nietylko na prowincji, lecz i w Poznaniu wszędzie w sklepach na poczcie Niemcy — nawet malcy szkolni — zwracają się po niemiecku. Czy szłyszał kto kiedy, by dostali odprawę należytą, nauczkę dobrą?! Złośliwi twierdzą, że Niemcy są chętniej i grzeczniej obsługiwani niż kochani rodacy. Zaiste nie chorujemy na przerost godności narodowej w zakresie tych stosunków!

Tymczasem zwartość organizacyjna naszych Niemców szybko się wzmaga w związku z odbudową potęgi Rzeszy.

Uchylenie się ich od udziału w uroczystem posiedzeniu Sejmu 11. XI. 1928 r. jest jaskrawą manifestacją antypaństwową. Zachowanie się podobne powinno niejednemu otworzyć oczy. Niemcy nadal spełniają swą oryginalną misję dziejową budzenia naszego patryotyzmu i wzmacniania naszej jedności!

Dzieje zrastania się wszelkich rozszarpanych organizmów narodowych są pełne boleści, zgrzytów, złorzeczeń i nienawiści. Włoch północny dotychczas z pogardą mówi o dzikim południowcu, którego — zbrodniczość czterykrotnie jest wyższą. Kule wojsk króla Sardynji pruły ciała bohaterów Garibaldiego, który sam upadł, rażony bratnim pociskiem. A jednak teraz na pagórku Janikulskim góruje nad Wiecznem Miastem posąg Trybuna ludu. We Francji trudności alzackie przybierają cechy tragiczne; autonomiści, pragnący przygotować grunt do powrotu prowincji na łono Rzeszy, ulegają aresztom. Zaczynają ginąć z ich ręki urzędnicy. Proces naszego zjednoczenia miał przebieg nierównie mniej chorobliwy, jednak nie brakawało czarnych, haniebnych kart w dziejach pierwszych lat. Przypominamy je z obowiązku historyka i na szczęście z uczuciem ulgi, że wydają się obecnie nieprawdopodobnemi, tak jesteśmy dalecy od owych stosunków z przed 6—8 laty! Proszę sobe wyobrazić jakąkolwiek jesienną czy zimową noc 1919—21 r. Pasażerami pociągów poznańskich, zbliżających się do Skalmierzyc trzęsie gorączka nerwowa lub dławi ich przygnębienie. Gdy pociąg staje o g. 2-ej, padają ostre, brutalne, pruskie rozkazy „wszystko wysiadać! Bagaż ze sobą! Rewizja!“ I oto rozpoczyna się wędrówka ludów. Niewyspani, przemęczeni, obarczeni małemi dziećmi, starcy ledwo suwający nogami, wszyscy się pchają do wielkiej sali na dworcu, smagani wiatrem i deszczem, obładowani walizami, skrzyniami, koszami. Trzeba je wszystkie otworzyć, by rodak z miną Hindenburga mógł stwierdzić, czy nie

wieziesz bochenka chleba lub funt masła, nowych butów lub krawata. Wszystko to stawało się zdobyczą rządu autonomicznego W. Ks. Poznańskiego, a właściciel ich otrzymywał wzamian ładną porcję wyzwisk i pogróżek.

Po godzinie udręki, rzucano się na łeb na szyję do wagonów, rozpoczynały się batalje o miejsca, bo prawa do zajętego miejsca nie przestrzegano. Co za marnowanie ludzkich sił, jakie narażanie zdrowia!

Wiemy, że kupy żydów i naszych handlarzy ruszyły do Poznania w r. 1919 po wszelkie zakupy, skutkiem czego ceny się podniosły i wśród tutejszej ludności było niezadowolenie. Niewiarogodnem jest jednak, by miejscowe kupiectwo, tak dumne ze swej organizacji i patrjotyzmu, nie potrafiło narzucić swym członkom zakazu sprzedaży hurtowej, a przecież po jeden krawat czy koszulę, a tem bardziej po funt masła i bochenek chleba nikt „obcy" do Poznania nie jeździł. Więc władze lokalne, chcąc bronić ludność przed ogołoceniem z dóbr, chybiły celu, szykanując nieszczęśliwych pasażerów rodaków tak, jak zapewnie nigdzie w Europie nie maltretowano rzeczywiście obcych. A czy pomyślano o skutkach politycznych? Co za posiew pogardy i nienawiści! Jak rozwydżono urzędników! Co za widowisko dla niemców i cudzoziemców! Ładna praca braterska nad zjednoczeniem po 150 latach niewoli! Nienawiść i zazdrość przeżarły całe społeczeństwo od dołu do góry. Męczenikiem był osadnik z Małopolski, który gdzieś koło Rogoźna czy Międzychodu nabywał za krwawicę kawał gruntu i stawał się ofiarą naigrawań, nieraz bojkotu i psot. Nawet nauczycielstwo, mózg narodu, nie uniknęło zarazy. Wręcz przeciwnie — w tem środowisku znalazła nienawiść międzydzielnicowa największych Bayardów i Rolandów. Jak zawsze w podobnych wypadkach, tak i tu obie strony były siebie warte.

Wśród przybyszów było sporo jednostek, pozbawionych całkiem taktu, popisujących się swą nieraz wątpliwą erydycją w sposób wyzywający. Natomiast „tutejsi" zaczęli wyładowywać takie gigantyczne zasoby pruskiej brutalności i nienasyconych, często — gęsto śmiesznych ambicji, że smutnej pamięci „Trąba Jerychońska" (1921—23) pozostanie po wsze czasy jedynym w swym rodzaju dokumentem historycznym, świadczącym o tem, jak się Polacy kochali w zjednoczonej ojczyźnie!

I niejeden z goryczą i wstydem przypomina sobie przysłowie: — „Niema większego kata, jak brata na brata" A jaką uciechę z tego naszego żarcia się miał Berlin! Biedne kryżactwo w owym fatalnym okresie inflacyjno - okupacyjno - putczowym miało jedyny chyba jasny punkcik — dymy naszych nienawiści, jedyną kojącą melodję — nasze potępieńcze wrzaski.

Niektóre zarządzenia władz ówczesnych poznańskich wydają się teraz zmyślonemi — tak są nieprawdopodobne. Któż dziś pamięta, że dopiero w r. 1920 zaczęto stosować przekazy pieniężne między Poznańskiem a resztą kraju? Więc w ciągu półtora roku w odzysk. Polsce nie można było przesłać pieniędzy nietylko z Wilna czy Lwowa do Poznania, lecz nawet z Kalisza!

Przystosowanie się społeczeństw do nowych warunków odbywa się powoli, lecz niepowstrzymanie. Ludność tutejszą można podzielić na trzy wielkie grupy. Do pierwszej należą najstarsi, mający lat 45 i więcej. Wpośród nich nie jest nie mało takich, co raz po raz kopią Ojczyznę ciężkiem kopytem, nie mogąc się obyć bez plugawego narkotyku — przypomnienia: „Za Niemca było lepiej"! Dla rodaka z innej dzielnicy mają wyniosłe lub pogardliwe prusackie spojrzenie, w rozmowie z nim głos ich nabiera brutalnych tonów pruskiego feldfebla. Tych ludzi już nic nie naprawi. Wyprostuje ich — jak garbusów — tylko mogiła. Czas pracuje dla nas. Czas jest cierpliwy! Do drugiej grupy należą ci 30—45 letni, którzy w 1918—20 brali udział w tworzeniu Ojczyzny, przemierzyli ją wdłuż i wszerz, sięgnęli po Kijów i Dynaburg. Niemało trudu, krwi, chorób, uniesienia i rozpaczy! Chociaż oni nie wchłonęli w szkołach polskiej kultury, jednak zrośli się z bohaterskim okresem naszego wyzwolenia. Polska nie jest dla nich mglistą abstrakcją, lecz żywym, bliskim tworem, bez którego już nie wyobrażają własnego życia i dla którego znoszą cierpliwie, z wiarą, nieraz z humorem, niedostatek i dolegliwości. Dla nich rodak z pod Wilna czy Lwowa jest rodakiem stuprocentowym; widzieli jego niedolę, rozumieją, jak był miażdżony przez wojnę, byli nieraz świadkami jego zdumiewającego bohaterstwa, doznali jego serdecznej gościnności. Wreszcie ostatnie nieprzeliczone zastępy, to młodzi i najmłodsi, tacy, którzy już się urodzili w wolnej Polsce, całkiem nie znają Niemca, lub ledwo pamiętają, lub byli rok — dwa w szkole Niemieckiej. Oni dyszą rodzimą atmosferą, coraz bardziej nasyconą polskością, oni myślą i czują tylko po polsku, oni wyjeżdzają do obozów letnich w różnych częściach kraju, oni systematycznie pod kierunkiem nauczycieli poznają przeszłość i teraźniejsze prace swego narodu, czują się atomami wielkiej naszej zbiorowości. Dla nich Wilno i Kraków są niemniejszą ich własnością niż Poznań; czują się w tych miastach takimi samymi obywatelami i synami tej ziemi jak w Poznaniu. Coraz więcej jest takich, co na własną rękę odbywają podróże pieszo po innych dzielnicach, podziwiając gościnność i dobroduszność ludu, piękność natury, pomniki świetnej przeszłości. Wśród młodych jest coraz więcej dumnych z tego, że są polakami, rozumiejących, że największem szczęściem — być Polakiem! Czas pracuje dla nich! Czas jest cierpliwy!

Zapusty i posty w satyrze XVI i XVII wieku

Mięsopust (XVI w.)

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą państwo kapusty,
Wolą sarny, jelenie,
I żubrowe pieczenie.

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panie kapusty,
Pięknie za stołem siędą,
Kuropatwy jeść będą.

A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy,
Po tańcu z małmazyą
I tak sobie podpiją.

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panny kapusty,
Wolałyby zwierzynę,
Niżli prostą jarzynę.

Jadłyby i kiełbasy
Wte mięsopustne czasy,
A pod wieczór marcypan,
By go im dał jaki pan.

Za wszystko wdowie stanie,
Kiedy jej się dostanie
Do rozmowy młodzieniec,
Gotów jemu jej wieniec.

Z książki „Złote jarzmo małżeńskie", wydanej w XVII w.

Na to są tańce różne, żeby się kawalerowie słusznie pannom przypatrywali. Na to „świeczkowy", żeby jeśli który nie dojrzy, lepiej ją widział przy świecy, którą przed sobą nosi. Na to „mieniony", żeby z boku obaczył tem lepiej, jak chodzi; na to „goniony", żeby wiedział, jeśli nie kaleka, albo nie dychawiczna; na to „śpiewany kowal", żeby słyszał, jeśli nie niemota. Na to „Niemiec", żebyście jak w garnce kołatali, czy dobra miedź i złość, jeśli się w niej ozwie; na to angielskie tańce świeżo wprowadzone, żebyście ku sobie rękami klaskali i miotali się z sobą".

Z poezji Kaspra Miaskowskiego (ur. 1549, zm. 1622 r.)

Na post polski.

Co gotują węgorze, szczuki[1]) w soli,
Wyzinę, łosoś, karpie brzuchom na post gwoli,
Ci nie myślą potężnie z ciałem wstąpić w szranki,
Ale kuflem dwuuchym szlamować chcą dzbanki.
Bo jako to[2]) nie mogło nigdy być bez wody,
Niż je z niej wyciągnęły konopne niewody.
Tak po śmierci solone brzydzą się nią zasie,
Ale piwo i wino każą nosić na się.

[1]) Szczupaki. [2]) Ryby.

Prezydent Stanów Zjednoczon. Herbert Hoover

Obrany w listopadzie 1928 r. prezydentem Stanów Zjednoczonych Herbert Hoover jest jednym z najbardziej energicznych, szlachetnych i skromnych synów Ludzkości. Dzieciństwo spędził w chacie drewnianej wśród niezmierzonych równin doliny Missisipi, w okolicy zaludnionej przez pracowitych, patrjotycznych, odważnych i demokratycznie usposobionych rolników. Ojciec Hoovera był kowalem, naprawiał maszyny rolnicze i wyrabiał narzędzia. Rzecz szczególna — dwaj inni niezwykłej mocy politycy pochodzą również ze środowiska kowalskiego — Mussolini jest synem kowala, Masaryk był kowalem. Matka Hoovera była wykształconą teologicznie zwolenniczką kościoła Kwakrów, słynęła wymową i szlachetnością, wpoiła w syna zapał do wspomagania nieszczęśliwych. Obojga rodziców stracił, gdy miał lat 9. Był chowany przez stryja lekarza i farmera na Dalekim Zachodzie w wielkiej prostocie i surowości. Rodzina sama wyrabiała tkaniny na ubranie, fabrykowała mydło, produkowała konserwy mięsne. Chłopiec ciężko pracował na roli, nauki pobierał w szkółce Kwakrów. Takie życie wytworzyło charakter nieco nieśmiały i zamknięty.

Dzieciństwo Hoovera przypomina nieco pierwsze lata Linkolna, wyzwoliciela murzynów 1863-65. Wielką rolę w życiu przyszłego znakomitego organizatora dożywiania głodujących Europy odegrał pewien inżynier, który roztoczył przed chłopcem tak ponętny obraz przyszłej działalności w tym zawodzie, że nakłonił go do rozpoczęcia odpowiednich studjów. By zdobyć potrzebne środki, Hoover nie gardził żadną pracą. Został ajentem loterji państw. i wędrował od farmy do farmy, wieczorem zaś uczęszczał do szkoły handlowej. Na egzaminie wstępnym do Uniwersytetu przepadł, profesor atoli zwrócił uwagę na zaciśnięte zęby młodzieńca i bijącą z twarzy niezachwianą decyzję dostania się do uczelni i dopomógł mu do osiągnięcia celu. Biedny student sprzedaje dzienniki, zakłada praczkarnię, pośredniczy w organizowaniu odczytów i koncertów. Pewnego dnia nie zdołał wyprzedać biletów na koncert Paderewskiego i wyznał jego sekretarzowi, że poniósł straty, przewyższające jego zasoby, i nie wie, co począć. Paderewski nie tylko zwolnił niefortunnego przedsiębiorcę od zobowiązania, lecz kazał wydać mu i jego koledze pewien zasiłek. Kto mógł przewidzieć, że po wielu latach „mistrz od zwalczania klęsk" odwdzięczy się w sposób tak niesłychany — uratuje od śmierci głodowej lub zwyrodnienia setki tysięcy polskich dzieci! Podczas wakacji młody Hoover wstępował do szeregów robotników w kopalniach. Dotychczas pewien dozorca pamięta go

jako prostego robotnika z oskardem. Taką pracą zarabiał na utrzymanie i zdobywał praktyczną znajomość zawodu. By skorzystać z kierownictwa pewnego znakomitego inżyniera, zamierzał w braku innej posady zostać u niego portjerem lub posłańcem biurowym. Stał się przepisywaczem na maszynie. Owładnął tą sztuką w ciągu kilka dni. Szef wkrótce poznał się na wybitnym młodzieńcu i mianował go inspektorem kopalń, a następnie polecił go potężnej firmie Londyńskiej, która oddała mu zarząd kopalni w Zachodniej Australji. Takiem zaufaniem obdarzono 23 l. inżyniera, który zapuścił sobie brodę by wyglądać poważniej. Na terenach pozbawionych wody wiercił studnie, by umożliwić pracę, stosował własne metody oddzielania metalu od domieszek. W porzuconych, niby wyczerpanych kopalniach, wydobywał nowe skarby. Powierzono mu dokończenie eksploatacji kopalń, uważanych za „martwe". Tą pracą zdobył taki rozgłos, że cesarz Chiński mianował go szefem zarządu kopalni i polecił dokonać poszukiwań węgla i żelaza. W toku tych zajęć zaskoczyło Hoovera powstanie Bokserów przeciwko białym (1899 r.). Wypadło mu kierować obroną dzielnicy europejskiej w Tien-tsinie,, budować barykady, pompować wodę pod kulami.

Pani Hoover jako siostra miłosierdzia pracowała w szpitalu, do którego codziennie przywożono 200 rannych. Pomimo, że nawet własny dom Hoovera uległ zbombardowaniu, zorganizował dożywianie chińczyków chrześcijan, którzy uciekali od swoich pod opiekę europejczyków. Gdy wreszcie przyszły na pomóc wojska europ., pierwszym skutkiem ich działalności było złupienie przez kozaków mieszkania Hoovera. Takiem było jego pierwsze zetknięcie się z Azją, Rosją i wojną. Po rozbiciu Bokserów pozostaje nadal w Chinach z ramienia europ. towarz. inżynierów. Buduje w pobliżu Penkina port morski, używalny w każdej porze roku; zakłada fabryki cementu, tworzy flotę handlową dla stosunków z Ameryką, buduje koleje, organizuje nowe kopalnie węgla. Ma wówczas lat 27 i sławę światową „uzdrowiciela chorych kopalń". Posiada już biura w San Francisko i N. Jorku, w Londynie, Shanghaju i Melburnie; zobowiązania wykonywa z rycerską uczciwością. Tworzy olbrzymie międzynarodowe tow. kopalń; w dżunglach Birmanji odnajduje oddawna zapomniane kopalnie srebra; sięga po żelazo i miedź na Uralu i w Turkiestanie; kieruje kopalniami połud. Afryki i Alaski. Przeszło 125 tysięcy ludzi zatrudnia w swych przedsiębiorstwach. Znaczna część zdobyczy światowej cynku i ołowiu pochodzi z tego źródła. Był on kolonizatorem nowego typu bez ryzyka wywołania wojny i bez wynurzenia się sprawy suwerenności nad danem terytorjum. Posiadał szlachetną filozofję, zawsze przekonywał robotników i kapitalistów, że ich interesy

się uzupełniają, a nie przeciwstawiają się. Robotnikom dowodził, że ich dobro wymaga wzmożenia produkcji, a nie ograniczenia; że dopiero przez potanienie produkcji będą oni mogli żyć pełniejszem życiem, skrócić czas pracy, rozwinąć swoją osobowość. Cóż dziwnego, że poraz pierwszy w dziejach nie wysunięto kandydatury na prezydenta z pośród administratorów-polityków, lecz upatrzono człowieka, który dokonał największych rzeczy w sferze gospodarczej!

W 40 roku życia Hoover był już u szczytu swej karjery zawodowej; miał za sobą 5 podróży dookoła świata, posiadał jedyną chyba na ziemi znajomość zasobów materjalnych ludzkości. Nie znał się jednak na polityce amerykańskiej, obcą mu była mozaika stronnictw. Wojna 1914 zaskoczyła go w Europie w charakterze komisarza projektowanej w tym roku wystawy Pacyfiku i Panamy w S. Francisko. Wypadło mu wnet ratować 200.000 swych ziomków-turystów, którzy wskutek zamknięcia kredytów w bankach europ. znaleźli się bez pieniędzy w sytuacji tragikomicznej, nie mogąc wrócić do kraju. Sam Hoover wypożyczył lub podpisał gwarancje na kwotę przeszło 1 milj. dolarów — przeważnie całkiem nieznanym osobom i prawie żadnych strat nie poniósł skutkiem swego zaufania do ludzi. Nabył już bilet okrętowy, by wracać do Ameryki, gdy raptem okropna wieść o niszczeniu i zagłodzeniu Belgji wzbudziła w Amerykanach myśl utworzenia komitetu ratunkowego dla tego kraju. Na czele tej organizacji po ciężkiej walce ze sobą stanął Hoover. Powiadają, że trzy noce przemierzał krokami swą pracownię, borykając się z ciężkiemi myślami, nim postanowił porzucić wszelkie sprawy prywatne, zrzec się dalszego powiększ. fortuny, przygotować się do wielkich strat. „Do djabła bogactwo! - Weźcie sobie moje sprawy" — krzyknął on wesoło swym byłym współpracownikom i zaznaczył, że niechce o tem nic słyszeć. Jednym zamachem zniweczył swą bajeczną 15-letnią karjerę inżyniera. Człowiek tak wrogi romantyce i sentymentalizmowi, namiętny zwolennik faktów i czynów pozytywnych, staje się postacią niemal fantastyczną. Przełamuje opór rządu angielsk., który poddaje blokadzie wybrzeża belg. i niem.; przekonywa go, że interes wojenny nie może wymagać zagłodzenia 7 i pół mil. Belgów i 2 i pół mil. Francuzów. Przez cały czas trwania wojny żywi te 10 mil. ludzi, całą swą energję, pomysłowość i giętkość rzuca do walki ze światem w stanie chaosu.

Jego organizacja stanowi prawdziwe państwo w państwie, posiada własny sztandar, flotę, wydaje poszporty, zawiera traktaty z sojusznikami, neutralnymi, nawet Niemcami, pozyskując zaufanie wszystkich dzięki swej bezwzględnej bezinteresowości. Jest to jedyna w dziejach

ludzkości praca. Samo zaopatrywanie dzieci terenów okupowanych w masło, jaja, świeże mięso — miało doniosłość epokową, bo w ten sposób ratowano pokolenie od śmierci lub zwyrodnienia. Zdumiewającą była umiejętność wciągania setek ludzi do bezinteresownej pracy, celem której było umożliwienie nabywania Belgom chleba po cenach najniższych w świecie. Miłość stworzyła olbrzymi aparat filantropijny, niemniej zdumiewający niż ten niszczycielski, który wprawiła w ruch wojna — nienawiść. Hoowerowi udało się wymóc na Niemcach obietnicę, że nie będą torpedowali statków Komitetu, a na Anglikach, że żelazna obręcz blokady rozewrze się przed każdym takim statkiem. „Jeśli nie nakarmimy głodnych, będą zmuszeni przyjąć pracę w fortyfikacjach niemieckich, więc przeciwko Wam" — przekonywał Anglików. Te spory, trudności, kryzysy co tydzień niemal się ponawiały. Trzeba było zachować zimną krew nawet wówczas, gdy dusił gniew straszliwy na łotrów czy idjotów, którzy pragnęli zniweczyć jego dzieło święte. Przeszedł tyle udręki, że gdy się skończyła wojna, nie tamował swego oburzenia. Po zawieszeniu broni depeszowali do niego dwaj urzędnicy niemieccy, znani mu w Belgji, prosząc o przysłanie żywności do Niemiec. Otrzymali odpowiedź: „Pan Hoover oświadcza Panom swe uszanowanie i posyła do wszystkich djabłów. Jeśi rozpocznie kiedy pracę nad karmieniem Niemców, to w każdym razie bez pośrednictwa takich łajdaków — jak Panowie"! Obserwujący jego działalność w Belgji Niemcy zaczęli uważać go za najodpowiedniejszego do ratowania ich od głodu w r. 1919. Bo i komuż mogła nie zaimponować ta praca! Co miesiąc statki Hoovera przywoziły dla Belgji 100.000 ton ryżu z Indji, soczewicę z Mandżurji, zboże, mięso i tłuszcz z Ameryki. Wydatki wynosiły początkowo 5 milj. dolarów miesięcznie, w ostatnich miesiącach wojny dosięgły 25 milj. „Powiedz no, Panie Hoover — niech to zostanie między nami — co Pan zarabia na tem wszystkiem? Wszak niepodobna, by Pan nic z tego nie miał!" — pytał go poufale pewien Niemiec w Brukselli. By uniknąć jakichkolwiek podejrzeń, Hoover zażądał dokonania rewizji rachunków i ksiąg przez ajentów znakomitej instytucji finansowej międzynarodowej. „Chcę, by kieszenie nasze były tak przezroczyste, jak szkło". Rewizja wykazała, że wydano 900 milj. dol., że koszta administracji nie przewyższały pół proc., i że Hoover nawet swe podróże urzędowe sam opłacał. Ofiary, zebrane przez niego w Anglji i Ameryce w postaci pieniędzy, żywności i odzieży, wynosiły 50 milj. dolarów. Reszta pochodzi od pożyczek, zaciągniętych przez Belgię u rządów franc., ang., amer. Rzecz tragikomiczna: wypadło mu przekonywać rząd franc. o konieczności niesienia pomocy ludności departamentów zajętych przez Niemców!

Podobnie jak Anglicy, Francuzi przypuszczali, że taka pomoc przedłuży wojnę. Po wojnie wdzięczność Francji wyraziła się w sposób efektowny: przywieziono mu do Ameryki list dziękczynny z podpisami wszystkich merów tych gmin, które były objęte jego działalnością, a przesłane przez niego rządowi franc. rachunki zwrócono mu bez rozpatrzenia z dowcipną odpowiedzią: „Mamy tyle spraw bardziej pilnych i ważnych, niż kwestjonowanie uczciwości p. Hoovera!“ Król Belgów zaprosił Hoovera na śniadanie i wręczył mu najwyższy order. Zmieszany Amerykanin zaczął się tłumaczyć, że pomagały mu setki ziomków, którzy pracowali w warunkach wyjątkowo trudnych w Belgji, i że on nie poczuwa się do prawa przyjęcia odznaki. Wówczas Albert poprosił go pozostać na obiedzie w gronie rodziny swej. Wieczorem do salonu króla weszli wszyscy ministrowie, premjer wręczył królowi zwój pergaminu, z którego ten odczytał adres dziękczynny narodu Belgijskiego dla Hoovera i dekret, nadający mu tytuł Obywatela Honorowego Belgji i Przyjaciela Narodu Belgijskiego. To odznaczenie utworzono specjalnie dla Hoovera, i nikomu poraz drugi ono nie będzie przyznane. Hoover był tak wzruszony, że brakło mu słów podziękowania. Dzieło, dokonane w Ameryce było jeszcze trudniejsze: chodziło o powściągnięcie apetytów swych ziomków, o zmniejszenie spożycia, o zwiększenie produkcji rolnej, by dopomóć Europie do wygrania wojny. W styczniu 1918 Hoover otrzymał od angiel. kontrolera żywnościowego alarmujące wieści o zbliżającym się głodzie. Dokonał dzieła nadludzkiego — zmusił w Ameryce 14 milj. matek i gospodyń do stosowania skromniejszego menu, wymógł na restauracjach, szkołach i kościołach, by wyznaczyły dnie bez mięsa i chleba pszennego. Przynaglił farmerów do podjęcia się uprawy nieruszonych olbrzymich przestrzeni; za tę pracę nadmierną dotychczas są rozzłoszczeni na Europę. Przekonał 95 proc. handlowców, by stosowali ograniczenie w handlu żywnością. Wreszcie wysłał flotę żaglowców po zboże do Australji. W wyniku — Europa otrzymała o 15 proc. więcej, niż potrzebowała, i wojna została wygrana. Taraz wypadło ratować od śmierci głodowej Europę Środkową. Widzimy Hoovera znów w Europie. Jego biuro Paryskie roztacza więcej potęgi niż jakiekolwiek ministerstwo. Gdy w r. 1919 po ucieczce kata Węgier Bela Kuna, arcyksiąże Józef owładnął tronem wbrew woli skonsternowanej Ententy, Hoover zagroził wstrzymaniem akcji aprowizacyjnej. O skutku tej pogróżki otrzymał od swego ajenta depeszę humorystyczną: „Pan Arcy(książę) dziś o ósmej wieczór wywinął koziołka“. To znów premjer Armenji zgłasza Hooverowi swą dymisję, którą ten odrzuca, dowcipnie pokpiwając ze zniechęconego męża stanu. Nasycenie głodnych okazało się bardziej potężnym środkiem zwalczania bolszewizmu,

niż siła zbrojna. Zasługą jego nieśmiertelną jest opieka nad dziećmi, którym oszczędził cierpień za grzechy ich rodziców — sprawców wojny. Któż zapomni defiladę 100.000 dzieci Warszawskich przed wielkim dobroczyńcą! Po powrocie z Europy Hoover za rządów Prezydenta Hardinga objął urząd Ministra Handlu i sprawował go przez lat 7. Prezydent Coolidge stale zasięgał rad jego we wszelkich trudnych okolicznościach. W r. 1922 rząd polecił mu zorganizowanie pomocy żywnościowej zagłodzonemu przez bolszewików narodowi rosyjskiemu. „Specjalista do walk z katastrofami" wywiązał się z nowego zadania znakomicie: uratował od śmierci głodowej 15 milj. Rosjan. Podczas straszliwego wylewu Missisipi w r. 1927 on kieruje akcją ratowniczą, tworzy 88 komitetów lokalnych, które posługują się aeroplanami i flotyllą statków, tworzy szpitale Czerw. Krzyża, które uratowały od chorób 750.000 powodzian. Będąc nadzwyczaj wytrzymałem, nieraz doprowadzał do porozumienia nieprzejednanych przeciwników, mniej niż on wytrwałych. Gdy 7 Stanów nie mogły dojść do zgodnego podziału wody rzeki Kolorado, Hoover jako prezes „Wodnej" Komisji zarządził codzienne posiedzenia, trwające po 12—14 godz. Nieprzejednani przeciwnicy z każdym dniem miękli. Gdy Hoover po 15 dniach skontatował wreszcie moment wielkiego znużenia, zaproponował podpisanie formuły kompromisowej, co uczestnicy chętnie uczynili, nie przypuszczając nawet, jakiego figla im splatał. Hoover jest zawziętym zwolennikiem oszczędzania wysiłków pracowników i wierzy w możność wielkiej racjonalizacji pracy. Pragnąc obniżyć koszta życia, bez zmniejszenia zarobków, radzi fabrykantom ujednostajnienie typu wyrobów. Tak naprz. za jego radą cegielnie zredukowały ilość gatunków cegieł z 66 do 4, a kotłów z 130 do 13. Wyroby staniały, eksport się wzmógł. Teorja Hoovera znalazła świetne zastasowanie w przemyśle automobilowym. Ulubione myśli Hoovera: „Każdemu należy umożliwić zajęcie stanowiska, do którego uprawniają go zdolności i charakter. Istotną cechą naszej demokracji jest przekonanie, że postęp mas uwarzunkowany jest doskonaleniem się jednostki. Mądrość polega na tem, by wiedzieć, co należy uczynić niezwłocznie, nie dyskutując nad tem, że to lub owo byłoby lepszem. Państwo powinno popierać badania naukowe, mnożyć szanse powodzenia dla wszystkich, brać się tylko do takich zadań, które przerastają siły jednostki lub grupy".

„Hoover był wielkim Architektem Ludzkości". Zajął obecnie stanowisko wodzą najpotężniejszego państwa, pierwszej w świecie społeczności. Ma lat 54, jest w pełni sił.

(Revue des deux Mondes. 15. X. 28)